

Od autora: Opowiadanie tradycyjnie dostępne jest także jako pierwszej klasy audiobook, czytany przez Przemysława Stippę, a dostępny na: YouTube/dobra cobra

http://www.youtube.com/watch?v=J6LZfygeJ98&list=PL6GBtXJjtnx0bOowsVJHd-fv_UcLnhc_&index=2

http://www.youtube.com/watch?v=mTXvgWVbCO4&list=PL6GBtXJjtnx0bOowsVJHd-fv_UcLnhc_&index=1

Zapraszam!

Będąc niespełna ośmioletnim chłopcem podróżowałem z rodziną pociągiem do odległego miasta. Na jednej ze stacji musieliśmy przesiąść się do innego składu. W oczekiwaniu na jego przyjazd stałem na peronie i z otwartymi ustami obserwowałem otoczenie. Całym sobą chłonałem niesamowitą atmosferę kolei. Po sąsiednim torze przejeżdżał akurat pociąg towarowy ciągnięty przez buchającą parą lokomotywę. Zapominając o całym świecie, zacząłem skrupulatnie liczyć wypełnione węglem wagony. Jeden, dwa, trzy, pięć, osiem, czternaście...

Skoncentrowany na tej czynności nie zauważyłem, jak bliscy wsiadają do podstawionego w międzyczasie pociągu. Zapewne pośpiech, hałas i tłok na peronie sprawiły, że moja nieobecność umknęła uwadze rodziny.

To było jedno z tych zdarzeń, których nie zapomina się do końca życia. Gdy zdałem sobie sprawę, co zaszło - struchlałem. Połykając łzy biegłem za odjeżdżającym pociągiem. Nagle na horyzoncie pojawił się szybko rosnący obłok dymu, a po kilkunastu sekundach usłyszałem przerażający odgłos wybuchu. Wszystkie ptaki zerwały się z drzew, a ziemia zadrżała jak podczas trzęsienia ziemi. Pędziłem niemal na oślep przed siebie, by jak najszybciej dotrzeć do miejsca katastrofy. Takiego pobojowiska nie widziałem nigdy w życiu. Powyginane na wszystkie sposoby wagony leżały na torach niczym porzucane przez dzieci zabawki. Wokoło gromadziło się coraz więcej ludzi. Próbowano ratować pasażerów uwieczonych w zwałach metalu i stali. Stałem bezradny, nie wiedząc co ze sobą zrobić i dokąd pójść...

Już nigdy więcej nie zobaczyłem rodziny. Zagubionego i umorusanego wziął pod ojcowską opiekę dobroliwy, acz z niewiadomych przyczyn ciągle samotny, sumienny pracownik prężnie działających lokalnych zakładów przemysłu owocowo - warzywnego.

Dobra Cobra zaprasza na wielką podróż na skraj jestestwa i niepoznanego w najnowszym opowiadaniu, pt.

Moc

Nigdy nie zobaczysz więcej, niż to, w co możesz uwierzyć.

2

Latami zastanawiałem się, dlaczego przeżyłem tę kolejową katastrofę? Z jakiego powodu musiałem zostać w życiu sam, jak ten przysłowiowy palec? Nie to, że miałem teraz jakąś słabą opiekę, czułem bowiem wielką sympatię płynącą od przybranego ojca. Ale nie potrafiłem widzieć w nim wzoru mężczyzny. Jako technolog - zajęty od rana do nocy w multinarodowym holdingu Warzywa & Owoce Ltd - myślał tylko o jednym: jak w ciągu zmiany wyprodukować jeszcze więcej słodkiego dżemu.

Szkołę lekceważyłem, starając się wydatkować na nią jak najmniej czasu i zdawać z klasy do klasy. Czasami musiałem powtarzać jakiś ścisły przedmiot z całego roku. Fizyki nie mogłem zrozumieć za nic, matma też nie należała do najłatwiejszych, ale gdy się spałem - jakoś to wszystko szło.

Zauroczony *Gwiazdnymi Wojnami* całe godziny spędzałem w pokoju, wyobrażając sobie, że jestem którymś z bohaterów tego filmu. Jednym z tych, którzy posiadali legendarną Moc. W marzeniach stałem po dobrej stronie i w jej imię wygrywałem najcięższe pojedynki. Marzyłem, że po zwycięstwie nad złem pojmę za żonę zauroczoną moim bohaterstwem piękną księżniczkę.

Z kolegami z klasy nie potrafiłem zawrzeć przyjaznych układów. Dom ojczyma był oddalony od miasteczka na odległość niedużego lasu. Nikt mnie nie odwiedzał, a i ja nie do końca tęskniłem za to-

warzystwem rówieśników.

Ale miasto się rozbudowywało i po niedługim czasie na przeciw nas postawiono nowe osiedle, wycinając pokaźnych rozmiarów przecinkę w drzewostanie. Ponadto dorastałem i poczułem nieszczęsny zew młodości, beznadziejnie zakochując się w klasowej koleżance o słodkim imieniu Aldona. Nie mogłem spać, nie dojadłem i byłem totalnie zdekoncentrowany. Myślałem tylko o niej. Stała się przedmiotem wszystkich moich marzeń.

3

Jak zdobyć Moc, żeby przypodobać się Aldonce? Może wtedy dziewczyna zwróciła by na mnie większą uwagę? W tamtym okresie byłem zbyt nieśmiały i beznadziejnie zakompleksiony, by spróbować odezwać się do niej pierwszy.

Ale jak zrealizować plan bycia innym w pozafilmowym, rzeczywistym otoczeniu? Nie chciałem przecież być Niewidzialną Ręką numer któryś tam by pod osłoną nocy wrzucać staruszkom węgiel do komórki, czy malować płoty. Wewnętrznie czułem, że nie tędy wiedzie droga do spektakularnych czynów, no i sławy, która pchnie Aldonkę w moje ramiona.

Nabożeństwa w kościele zainspirowały mnie do czytania o cudach czynionych przez Jezusa i Jego uczniów. Historie te jednak bpachniały trochę zbyt pacyfistyczne - tylko uleczenie i czynienie dobra. A ja chciałem żeby były z tego także pieniądze, by kupić sobie jakieś sportowe auto i przyszpować, podjeżdżając nim pod szkołę. Reszta miała ułożyć się sama.

Kupiłem Biblię, uzasadniając fakt chęcią zdobycia większej wiary. Czytałem z zainteresowaniem o mocach, które zostały dane za darmo uczniom i sługom Boga. By dowiedzieć się więcej, zacząłem uczęszczać na spotkania religijne organizowane na plebanii. Ale po pewnym czasie ksiądz zaczął zapraszać mnie tam wieczorami, co nie za bardzo mi pasowało. Byłem zbyt nieśmiały, by we dwójkę z dużo starszym człowiekiem, siedzącym ramię w ramię, zgłębiać tajemnice Słowa. Ponadto czułem przez skórę, że nie do końca mnie rozumiał.

Wtedy w jednym z tygodników po raz pierwszy przeczytałem o buddystach.

4

Gdy tylko nadeszły wakacje, w tajemnicy powynosiłem swoje rzeczy z domu i korzystając z dwudziestoczterogodzinnego dyżuru ojca - pracującego w pocie czoła przy produkcji dżemów - zwiąłem z domu.

Przybyłem do ośrodka buddystycznego, znajdującego się na obrzeżach dużego miasta, gdzie z zapalem rozpocząłem praktykować zen. Dowiedziałem się o oświeconych mistrzach, którzy posiadając w wyniku medytacji siłą likwidowali zbyt szybko rozpleniające się w świątyniach szczury, potrafili także przenosić z miejsca na miejsce drzewa i różne inne przedmioty. Dość szybko zauważyłem jednak, że - w podobie chrześcijaństwa - czynili to tylko dla dobra ogółu. Pośród nich także trudno było znaleźć awanturniczych i odważnych bohaterów z kosmosu.

Próbowałem poświęcić się medytacji, ale szło mi to dość opornie. Pewnego dnia przy wspólnej kolacji, gdy dokonywałem rytuału odsączania paprochów od wody pitnej, spytałem kapłana ośrodka o to, jaki stopień oświecenia uzyskał po ponad dziesięciu latach nieustannego siedzenia po turecku. Gdy odpowiedział, że jest dopiero gdzieś przed jedną ósmą - odechciało mi się podejmowania kolejnych wyrzeczeń. Nie zamierałem tracić całego życia dla iluzorycznej obietnicy, że być może i ja też coś tam osiągnę. Potrzebowałem mocy teraz, a nie jej ćwiartki kiedyś.

W dwa tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego zrezygnowany wróciłem do domu, uszczęśliwiając ojczyma oraz szkolną panią pedagoga. Okazało się, że zaczęła mnie już szukać policja. I znów żyliśmy szczęśliwie jak dawniej.

W zastraszającym tempie wzrastało jednak spożycia dżemu na głowę statystycznego mieszkańca kraju, z powodu czego dietetycy zaczęli bić na alarm. W imię chciwości i coraz większego zarobku ich głos został jednak brutalnie stłumiony.

Przebywając w ośrodku zen kupiłem kilka książek, które próbowałem zgłębiać pomiędzy pracą na rzecz ośrodka, a wczesnoporannymi i późnowieczornymi medytacjami. Nie napisano w nich niczego nowego: występowali tam nadal ci sami szlachetni mistrzowie buddyjscy, wykorzystujący oświecenie dla szerzenia dobra. Nie popisywali się posiadanymi właściwościami, nie podrywali dziewcząt, nie jeździli wypasionymi furami - jednym słowem byli eunuchowatymi gołodupcami w długich szatach, ponad ziemskie „marności” przedkładający iluzoryczną słodycz wielogodzinnych medytacji, od których drętwiał tyłek.

Dopiero wczesną jesienią w jednej z książek natrafiłem na fragment mówiący o pewnym zbuntowanym uczniu.

5

Ów uczeń zakochał się na zabój w dziewczynie, która jednak szybko z nim zerwała. Aby ją zmusić do powrotu, nauczył się pewnej interesującej techniki. Po wypiciu ogromnej ilości solonej wody, kładł się na łóżku i zmuszał ducha do wyjścia z ciała, by zaspokoić rosnące gwałtownie pragnienie napojem ze szklanki, stojącej na stole. Trwało to tygodniami, aż wreszcie upór i poświęcenie zaczęły przynosić rezultaty. Chłopak w postaci ducha odwiedzał dziewczynę, by ją straszyć i namawiać do powrotu.

To było coś dla mnie!

Przypomniałem sobie, jak za młodu szalałem za srogą i nieustraszoną treserką lwów, którą widziałem raz w cyrku. Ubrana w pobłyskujący kostium i rajstopy kabaretki z łatwością ujarzmiała otaczające ją groźne zwierzęta. Byłem pewny, że śmiałość, determinacja i łaknienie przyjdą mi z pomocą.

Rozpocząłem mordercze ćwiczenia. Zamiast próby solonej wody zacząłem używać słodkiej marmolady, czerpanej z dwudziestolitrowej metalowej puszki przyniesionej przez ojczyma z zakładu. Do tego dodałem głodówkę i leżenie na desce z wbitymi na sztorc gwoździemi. To wszystko sprawiło, że po stosunkowo niedługim czasie poczułem, że moc drgnęła i zaczęła przybliżać się do mnie. A może tak tylko sobie wyobrażałem?

Aby ją wypróbować, któregoś wieczoru stanąłem przed jednym z bankomatów i na głos zażądałem, by ten wydał pieniądze. Przez pewien czas nic się nie działo. Dopiero po chwili, która ciągnęła się niemiłosiernie długo, automat zabzyczał, zamrugał światłem, coś tam w środku zaszumiało, a po chwili zobaczyłem na tacy niechętnie wysunięty nowiutki banknot pięćdziesięciozłotowy.

Ścisnąłem go w dłoni i szalałem ze szczęścia zrozumiałwszy, że jestem już gotowy.

6

Wieczorami zakradałem się pod blok, w którym mieszkała Aldonka, i z wyciągniętą dłonią próbowałem przywoływać ją do siebie.

- Kochasz mnie - szeptałem, pełen zapału i wiary, że mój trud nie idzie na marne. - Pragniesz mnie. Wyjdź na podwórko...

Trzeciego dnia takich prób zaglądając w jej okno, zauważyłem jak Aldonka nagle przerwała żucie mięsa z wędzonej zebry i zaczęła się wic po pokoju niczym jakaś dzikuska. Po chwili dobiegł stamtąd wielki huk, który zabrzmiał tak, jakby gdzieś całkiem niedaleko pękła solidna guma. Po czym usłyszałem histeryczny krzyk jej matki:

- Zenuś! Jakiś ciamajda właśnie podstępnie pozbawił naszą córkę dziewiczej firanki między nogami! Łap skurwysyna! Łap tego skurwego syna, Zenuś, mówię ci!!!

Po chwili drzwi klatki schodowej otworzyły się z impetem. Starszy jegomość w dziurawym podkoszulku stanął przed blokiem, dzierżąc w ręku duże, lśniące widły. Szybko rozejrzał się po najbliższej okolicy, by chwilę później doskoczyć do przypadkowo przechodzącego młodego człowieka:

- Za cnotę mojej córki! - krzyknął, wbijając w jego ciało ostre szpikulce raz za razem. - A masz ty skurwysynu ty, coś mi córeczkę odkorkował! I to bez tatusiowego pozwolenia!

Cofając się odruchowo, pośliznąłem się na psich odchodach i upadłem jak długi. Leżąc ukryty za żywopłotem z przerażeniem chłonałem rozgrywającą się w świetle latarni scenę. Zesztywniałem, wpatrując się w Boga ducha winnego młodzieńca, który leżał nieruchomo, przebijany po raz kolejny na wyłot. Przecież przy mniejszej odrobinie szczęścia to mogłem być ja.

7

Naraz obok pojawiła się nieznajoma, starsza ode mnie dziewczyna:

- Chodź, trzeba nawiewać! - Mocno chwyciła mnie za rękę i zdecydowanie pociągnęła za sobą. Szybko przebiegliśmy dwa czy trzy podwórka, by ukryć się na którejś z ciemnych klatek schodowych. Dyszeliśmy zmęczeni ucieczką, drżąc ze strachu przed odkryciem przez ojca Aldonki.

- Jestem Juzdyna.

- Juzdyna? A co to za imię?

- Dziadek tak mnie nazywa. Bo normalnie wołają na mnie Justyna.

Dopiero po chwili poczułem sterczące sprężyste piersi, które mimo stanika wciskały mnie swoim ciężarem w ścianę. Nasze usta niespodziewanie się zetknęły. Mimowolnie dotknąłem jej wspaniale miękkiego ciała, gdy naraz nagły skurcz wstrząsnął moim jestestwem. Ledwo stojąc na nogach przez dłuższą chwilę nie mogłem złapać tchu.

Juzdyna patrzyła na mnie z nieskrywaną ciekawością. Przygryzła górną wargę, chłonać całą sobą zaistniałą sytuację. Oraz specyficzny zapach przedwczesnego wytrysku, roznoszący się coraz szerzej po klatce schodowej.

Ponizony opuściłem głowę, odepchnąłem ją i uciekłem tak szybko, ile tylko miałem sił w nogach.

Od tamtego wydarzenia z rzadka wychodziłem na miasto, starając się szybko przemykać między blokami. Sytuacja z Juzdyną sprawiła, że najadłem się wstydu. Pewnie cała szkoła już o tym gadała. Na szczęście ojczyma nie dziwiło, że całe dnie siedzę w szczelnie zasłoniętym pokoju. Był całkowicie oddany szczytowi kampanii owocowej, która musiała sobie poradzić z coraz bardziej wyśrubowanymi planami produkcyjnymi dżemu.

Na większy oddech pozwalałem sobie dopiero w okolicach lasu, naturalnie odgradzonego strumykiem, płynącym z niedalekich łąk, oraz pasem gęstych zarośli. Po ich drugiej stronie znajdował się mój dom.

Dopiero tam luzowałem i już w wolniejszym tempie osiągałem moją świątynię dumania, położoną za podmokłymi terenami, okalającymi miasto. Była nią urokliwa dzika polana, na którą nigdy nie zapędzał się żaden przypadkowy poszukiwacz grzybów.

Tego dnia ostrożnie ostrożnie przemykałem przez osiedle, by udać się do samotni, gdy niespodziewanie zaszczebotała nade mną Juzdyna:

- Scykałeś się wtedy? - spytała zaczepnie. - Boisz się mnie?

Milczałem, modląc się w duchu, bym znów nie doznał przy niej tego niemożliwego do opanowania wytrysku, kończącego się zmoczeniem spodni.

- Nie - odezwałem się wreszcie, ale ona chyba w to nie uwierzyła. Ja bym w każdym razie w takie zapewnienie na pewno nie uwierzył. Czułem się poniżony, spiekłem raka, a uszy czerwieniały w zastraszającym tempie.

- Skąd wiesz, która dziewczyna będzie dla ciebie najlepsza? - spytała, zeskakując z drzewa.

Opuściłem głowę onieśmielony, nie wiedząc, co powiedzieć. Ależ ona odważna! Zadawać takie pytania

chłopakowi, którego prawie wcale nie znała?

- Co za fioletową kropkę masz nad okiem? - zagailem, by zmienić temat rozmowy.

- Jak się rodziłam, to był wielki wysyp dzieci na porodówce i położna w ten sposób znaczyła niemowlęta kopianym ołówkiem, by ich później przypadkiem nie pozamieniać.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

- Celowałeś w Aldonkę, ale widać taki los nie był ci pisany.

- Celowałem? Ja? - Z całej siły pragnąłem wyprzeć i zbagatelizować wydarzenia ostatnich dni.

- No, mocą w nią celowałeś.

- Skąd to wiesz? - gwałtownie podniosłem głowę. Jak mogła znać prawdę?

- Wiem, bo tak się składa, że całą przyszłość osiedla pisze mój dziadek. On mi powiedział.

- Co?

- Chodź ze mną, pokażę ci - próbowała wziąć mnie za rękę, którą jednak szybko wyrwałem z jej uścisku.

Widząc moją zmieszaną minę nie nalegała. Poszedłem za nią dobrowolnie. Dopiero teraz zauważyłem, że miała całkiem zgrabną pupę, ukrytą w nieco sfatygowanych i spranych dżinsach.

- Aaa! - krzyknąłem przestraszony. - On... On przecież nie ma głowy!

- Cicho! - szepnęła dziewczyna. Bijące od niej ciepło i zapach były niepokojąco przyjemne.

- Tak jest od zawsze - wyjaśniła Juzdyna, jakby to, co mieliśmy przed oczami, było jakąś najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. - Odkąd pamiętam dziadek nigdy nie posiadał głowy. Z tego powodu nie było mu w życiu lekko, szczególnie, że mieszkał na wsi. Wiesz, odmieniec, a takich zawsze ludzie obgadują i wytykają palcami... Najpierw, jak gdzieś wychodził to nosił głowę pod pachą. Ale jak rodzice kupili tutaj mieszkanie, zebrał się i przeprowadził któreś nocy do nieczynnego schronu przeciwoatomowego, połączonego tajnym przejściem z piwnicą. Przelaz zamurował, stare maski przeciwgazowe spakował do

skrzyni i na wielkim stole rozstawił swój nieziemski komputer.

Istotnie, wielka maszyna - ustawiona na długim blacie, podpartym kozłami z drewna - błyskała wieloma kolorami świecących lampek. A przed nią siedział stary człowiek bez głowy. Powykrzywiane reumatyzmem palce trzymał na pokaźnych rozmiarów klawiaturze, w którą od czasu do czasu nerwowo stukał.

- Aż pewnego dnia głowa całkowicie zniknęła - głos dziewczyny wyrwał mnie z zadziwienia.

- Zniknęła? Jak to?

- Ano tak, normalnie - uśmiechnęła się, a na jej policzkach wykwitły dwa słodkie dołeczki. - Była, a potem już jej nie było. I od tamtej pory już jej nie miał.

- Mów ciszej, bo nas usłyszy! - zgałęm Juzdynę.

- Nic nie usłyszysz. Od tamtego czasu nie ma z nim żadnego kontaktu.

- Naprawdę? A przecież mówiłaś, że powiedział ci o mojej mocy i o... - zawahałem się - No, i o Aldonce.

- Jak byś dotknął dziadka, to dopiero wtedy by poczuł. Kontaktuje się z otoczeniem wyłącznie poprzez pisanie.

10

Podeszliśmy bliżej. Dziadek pisał akurat o jakimś Tadeuszu, z wprawą klikając w klawisze wielkiej maszyny. Podobno ma dokonać przełomowych rzeczy, które wielu wyzwolą.

- Czy on kiedykolwiek odchodzi od tego kompa? - spytałem.

- Często przed nim sypia. Ale nigdy nie widziałam, by opuszczał stanowisko - stwierdziła Juzdyna. - Wiesz, muszę załatwić mamie jakieś zakupy, ale jak chcesz tu zostać, to bardzo proszę - dodała przepaszając. I już jej nie było.

- *Aldonka nie była dla ciebie.*

Zamarłem, czytając ten wiersz na ekranie. To było do mnie!

- *Dalem ci trochę mocy, tak na próbę, bo bardzo chciałeś ją mieć. Ale zamiast dokonać wielkich rzeczy, użyłeś jej do spraw prozaicznych.*

Jego przenikliwość mnie zaskoczyła.

- *Ja to wszystko rozumiem, też przecież kiedyś byłem młody, miałem łeb na karku i chciałem imponować niektórym. Z tego powodu straciłem głowę dla jednej kobiety... i to nie tylko w przenośni. Ale spójrz - skierował palec na monitor, gdzie pisał w oddzielnej tabeli losy jakiegoś człowieka, imieniem Janusz. - Temu też dałem posmakować mocy i zamiast na męsko - damskich zabawach od razu skoncentrował swoją uwagę na czynieniu dobra. Co prawda ma nieco inną definicję dobra, no ale zawsze to lepsze, niż ganieć za przekornymi dziewczuchami.*

Obserwowałem, jak na ekranie zapisano, że ten Janusz używał otrzymanego daru głównie do przepędzania gołębi, notorycznie srających koło miejskich śmietników.

- I to tak można? - spytałem. Starzec nie odpowiadał. No tak, przecież nie miał głowy, czyli uszu, żeby słyszeć! Korzystając z dużej klawiatury ostrożnie wystukałem na ekranie:

- *I to tak można?*

- *Ten Janusz działa trochę jak legendarny Janosik, ale jest duża nadzieja, że w przyszłości przynajmniej powstrzyma rozwój pewnej odzwierzęcej choroby, skutecznie odpornej na działanie większości znanych antybiotyków.*

- Aha.

Dziadek Juzdyny znów zaczął pisać coś zawzięcie. Zza jego pleców mogłem przeczytać, że jeden szczęściarz podczas pobytu za granicą podniesie z chodnika grosik. Tak na szczęście. A niedługo potem stanie się prawomocnym właścicielem największego w mieście złomowiska.

- *A teraz odejść. Nic z ciebie nie będzie!* - Starzec gwałtownie wrócił do naszej rozmowy. - *I uważaj na dziewczęta, które mają duże dłonie* - dodał. *To zupełnie jak u psów - duże łapy za młodu, to wielkie zwierzę na stare lata! Narowisty charakter i wielkie kłopoty, od których nie raz zaboli głowa. A mężczyzna przeznaczony jest do wolności...*

- *Dobrze, że przyszedłeś* - zamruczała Juzdyna do ucha, muskając wargami mój policzek. Jej zapach przypawił mnie o zawrót głowy. - *Położ się wygodnie na leśnej darni. I wszystko zostaw mnie.*

Nie wierzyłem w to, co się działo! Dziewczyna usiadła obok mnie i pochyliwszy głowę pocałowała w usta. Nigdy do tej pory nie stykałem cieleśnie warg z żadną panną, był więc to poniekąd mój pierwszy raz. Dreszcz, który przebiegł po ciele, znamionował zjawisko dotąd mi nieznane i nadzwyczaj przyjemne. W chwilę później jej palce zaczęły błądzić po klatce piersiowej, by zaskakująco szybko znaleźć się w okolicach spodni. Delikatnym ruchem rozpięła suwak, natychmiast uwalniając moją naprężoną męskość. Zmysłowo pośliniła palce i delikatnie chwyciła za żołądek. Poczułem spazm rozkoszy gwałtownie przebiegający po całym ciele.

Czułem, że odlatuję. Korony drzew uległy zamazaniu, gdy Juzdyna miarowo ślizgała palce w górę i w dół.

- *Wstawaj!*

Oddychałem coraz bardziej chrapliwie. Jednocześnie czułem, że ktoś niecierpliwie potrząsa mnie za ramię. W tym samym momencie przyszło spełnienie. Targany skurczami wylewałem gorące nasienie na piękną dłoń dziewczyny.

- *Wstawaj do cholery!* - słyszałem coraz bliżej. - *Szybko, bo nie ma czasu!*

Otworzyłem oczy, by zobaczyć nade mną zdenerwowanego ojczyma.

- Zbieraj się, musimy zaraz wyjeżdżać!

Dotknąłem spodenek, które były mokre, jak po praniu. Pozostając w półśnie z powrotem przymknąłem oczy.

Juzdyna sugestywnie oblizywała palec, wpatrując się we mnie spod długich powiek i powoli rozpinała bluzkę.

- *Ale miałem sen* - powiedziałem. - *Ojciec właśnie starał się mnie raptownie obudzić...*

- *To jest sen* - przerwała, ukazując rozkoszną biel dobrze wypełnionego stanika.

Z przerażeniem usiadłem na łóżku.

12

- Jakaś wojna wybuchła, czy co? - dopytywałem biegającego wokoło ojczyma.

- Gorzej! - syknął, wrzucając na tylne siedzenie auta kilka toreb z naszym skromnym dobytkiem. - Wskakuj szybko, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

Gdy siedzieliśmy w krzakach w oczekiwaniu na pogorszenie pogody, by uciec łodzią za granicę - ojczym wskazał mi pewien link na telefonie. Z zapartym tchem obejrzałem telewizyjną relację o zdradzie tajemnic zakładowych i ucieczce głównego technologa zakładów owocowo - warzywnych Owoce & Warzywa Ltd. Policja już prowadziła intensywne poszukiwania.

- To ty?
- Tak, to o mnie.
- A to prawda, co tam piszą o zdradzie?
- Nie do końca. Zerknij na drugi filmik.

W wielkim skupieniu obejrzałem potajemnie nakręcony dokument o sekretnych składnikach dżemu i marmolady. Ujawniał on całą prawdę o szkodliwości wysoce cukrzonego produktu. Jednak - mimo zawartych w filmie drastycznych scen, w których do kadzi z pulpą sypano trującą chemię, a wszędzie biegały stada szczurów - mało kto porzucał jedzenie narodowego przysmaku na rzecz diety niskocukrowej. Odnosiłem wrażenie, że w tej sprawie odbywała się zakulisowa wojna o zyski, a klienci zostali skutecznie zmanipulowani wszechobecną reklamą.

- Ale numer! I to wszystko ty? Ale dlaczego?

- A kto ma zmieniać świat, jak nie my? Od lat znałem mało chwalebne sekrety zakładów przetwórstwa owocowego, przez to ciągle dręczyło mnie sumienie. Pewien czas temu powziąłem decyzję, że koniecznie muszę ujawnić ten spisek. Dla dobra ogółu i zdrowia narodu. Oraz jego szeroko pojętej pokarmowej wolności.

Poczułem ogromną dumę z poczynań ojczyzna. Podszedłem i uścisnąłem go mocno. Od razu jednak pomyślałem, że byłoby wielce szkoda, gdyby łódka o źle kojarzącej się nazwie Tytanik jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności poszła podczas ucieczki na dno wraz z nami.

Przez wiele godzin rozglądaliśmy się uważnie, czy w okolicy nie pływa jakaś zabłąkana jednostka straży granicznej lub inny podejrzany obiekt.

Świtało, gdy prosto na nas wyszedł z lasu facet z niedźwiedziem na postronku. Chcieliśmy uciekać, gdy sadząc wielkie susy podbiegł do nas z błagalnym wyrazem na twarzy.

- Panowie! Pomóżcie mi!

- Ale... ale co się stało?

- Mam uczulenie na sierść tego cholernego zwierzaka, a muszę go dostarczyć za pół godziny o tu - wskazał zakreślony czerwonym flamastrem punkt na wyświechtanej wojskowej mapie.

- Tu? - Upewnił się ojczym. - Na polankę?

- Dokładnie.

- Ale co to w ogóle jest? Spaceruje pan z niedźwiedziem na sznurku po lesie jak z psem po mieście?

Facet wcisnął niespodziewającemu się ojcu zwitek obcych banknotów do ręki.

- Jest umowa. Taki jeden dewizowiec przyjechał wczoraj zapolować na niedźwiedzia. Płaci bajecznie, więc sołtys zaraz do mnie uderzył, żeby nagonić misia. A ja mu na to, że już dawno wywędrowały z tych terenów. Na co on, że facet płaci dewizami i muszę coś wymyślić. I jak mi wręczył zwitek tych banknotów, to aż przysiadłem z wrażenia, bo nigdy takiego bogactwa w rękę nie miałem. Szybko poszedłem po rozum do głowy, dodałem dwa do dwóch i nocą zaiwanilem zwierza z cyrku. To jest: pożyczyłem, no nie? Zwierz nie gryzie, ani nic, bo jest oswojony z ludźmi. Tylko strasznie kicham i umieram od tej jego sierści, bo od lat cierpię na nieuleczalną alergię.

Jak na komendę facet kichnął i obtarł rękawem załzawione, czerwone oczy.

- I co my niby mamy z tym misiem zrobić?

- Weźcie mapę i idźcie z misiem na tę polankę. Jak rozlegnie się odgłos rogu musicie go spuścić ze sznurka. I tyle.

- Coś mi się zdaje, że ten myśliwy chyba siedzi w tamtej ambonie - szepnął ojczym, gdy czekaliśmy na umówiony znak.

Faktycznie coś tam się ruszało, powiedziałbym, że cienie wskazywały na obecność dwóch osób. W tym

samym momencie rozległ się donośny odgłos myśliwskiego rogu. Szybko odwiązaliśmy miśka, który jednak jakoś nie kwapił się do wyjścia z lasu. Przyłożył głowę do kamienia i zamruczał przeciągle.

Naraz z przeciwnej strony polany wyjechał na rowerze leśniczy, robiący akurat poranny obchód. Gdy niedźwiedź go zobaczył natychmiast pognął w jego kierunku, a z ambony rozległ się strzał, na szczęście dla wszystkich niecelny. Widząc, co się święci przybyły porzucił rower i popędził do lasu. Zwierz jakby tylko na to czekał. Wskoczył na bcykl i ku naszemu zdumieniu zaczął jeździć w kółko.

- Verfluchte Scheisse! - dobiegł z ambony podpity głos zagranicznego gościa. - To ma być, kułwa, ghoźny nieświeć? Ty myslisz, że się nabiohe na thesowanego zwirza. Już ja ci pohaze, ty shulwysynu!

Z ambony wyskoczył w pośpiechu ten drugi osobnik. Przy lądowaniu chyba musiał złamać nogę bo wrzasnął głośno i kuśtykając w panice nawiewał w krzaki, goniony niecelnymi strzałami z dubeltówki.

Tylko miś nic nie robił sobie z tego całego zamieszania, zataczając coraz większe kółka na służbowym rowerze leśniczego.

15

- *Uwaga! Proszę się zatrzymać! Powtarzam: Proszę zatrzymać łódź!* - Usłyszeliśmy charczący komunikat z megafonu. Z mgły, która miała chronić przed dekonspiracją, powoli wypłynął kuter straży przybrzeżnej i omiół nas silnym snopem światła. Serce zamarło mi z przerażenia.

- *Czy na tej łodzi znajduje się obywatel Tadeusz Więcek? Powtarzam: czy na tej łodzi znajduje się obywatel Tadeusz Więcek?*

- Nie! - krzyknąłem ile sił. - Jesteśmy rybakami.

W tym samym momencie wyciągnąłem rękę w ich stronę i używając mocy powiedziałem cicho:

- Dobrze. Odpływajcie.

Jakież było moje niezmierne zdumienie, gdy po chwili usłyszałem z megafonu:

- *Dobrze. Odpywajcie.*

Ojczym przypatrywał mi się z wyrazem niedowierzania. Dopiero dobrych kilka minut później zdołał z siebie wykrztusić:

- Ale... Ale jak to? To ty umiesz coś takiego?

- Tak - starałem się zbagatelizować całe zajście. - Ćwiczyłem tę umiejętność miesiącami, ale jakoś nie szło mi szczególnie dobrze. Aż do dzisiaj.

16

Gdy kilka miesięcy później siedziałem w Malmo nad talerzem z tanim, ulicznym jedzeniem moją uwagę zwróciła jakaś znajoma sylwetka. Nieprawdopodobne i nie do wiary, ale to była... Juzdyna! Już miałem pobiec, by się z nią przywitać, gdy nagle nie wiadomo czemu przyjrzałem się jej dłoniom. Wydały mi się jakieś takie duże ponad miarę. Więcej: były monstrualnie wielkie.

W tym momencie wspomniałem radę jej dziadka, której udzielił mi kiedyś w piwnicy:

- *I uważaj na dziewczęta, które mają duże dłonie. To zupełnie jak u psów - duże łapy za młodu, to wielkie zwierzę na stare lata! Narowisty charakter i wielkie kłopoty, od których nie raz zaboli głowa.*

Naraz zrozumiałem, że nie chciał, żebym się zadawał z jego wnuczką. Zaniepokojony tym odkryciem oczekiwałem, przesadnie pochylony nad jedzeniem, aż dziewczyna sobie pójdzie. Po długim czasie narzuciłem na głowę kaptur i opłótkami wróciłem do schroniska, w którym byliśmy tymczasowo zakwaterowani.

Przy kolacji przypomniałem sobie, że dziadek Juzdyny pisał wtedy także o moim ojczymie.

Miał dokonać przełomowych rzeczy, które wielu wyzwolą. I dokonał ich.

Ze względu na jego sławne nazwisko: Tadeusz Chliwa - znane z powodu zdrady tajemnic receptury dżemu i brawurowej ucieczki małą łódką przez morze - już niebawem mieliśmy dostać duże komunalne mieszkanie kwaterunkowe.

Idąc następnego dnia na kurs szwedzkiego podniosłem z chodnika leżący tam samotny grosik. A nie-
długo potem w przedziwny sposób stałem się prawomocnym właścicielem największego złomowiska w mieście.

KoNiEc

Dobra Cobra,

Luty 2017

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dobra Cobra, dodano 20.04.2017 09:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.